



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie;

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

REKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowieza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POGAWĘDKA.

W Chinach wojna, na wybrzeżach Anglii wód wylew, we Włoszech ziemia się trzęsie, w Armenii Kurdowie wyrzynają spokojną ludność ormiańską, a u nas w Warszawie niewiasty wypowiedziały wojnę „Emancypantkom” Prusa.

Tym razem gród Syreni nie zaprzął się swojego herbu.

Z podniesionym mieczem do góry energiczna postać kobiety, która ogonkiem rybim muska fale tak chwiejnego i niestałego żywiołu, jakim jest woda, sporo lat czekała na tę chwilę, by wreszcie ujrzeć godnie siebie naśladowniczki.

Ha—kiedy walka, to walka! Prus nie wiele na tem ucierpi, ale znajdują się dzierłatki należące do płci wojowniczej, które nienadwerezonym dotąd zasadom śmiertelny bój wydadzą. Znajdą się, bo już awangarda tej armii zdobywczej tu i tam się pokazywać zaczyna.

Nie straszne to jeszcze wojsko, bo jakoś lilipucio wygląda, a lilipucio nie pod względem liczebnym, lecz—niestety! fizycznego swojego wyglądu. Nam się zdawało, że gorąca niegdyś walka o prawo kobiety schowała już swój sztandar czerwony, a przekonawszy świat o słuszności swych żądań, z kart dzienników i książek zesłała na pole czynu i tu już niezbite dowody swej żywotności daje.

Tak! w obronie emancypacji, właściwiej — w obronieniu rozszerzenia praw kobiecych, nikt już kopii kruszyć nie będzie, bo w znacznej części świata, przynajmniej choć w zasadzie, przyznano jej te prawa. To też rzeczniczki tych idei, mające umysł dojrzały a spokój zwyczajcy, nie rozpierają się już w salonach, cicho, ale poważnie,

pracują na chlubnie zdobytej grzędzie i nie wyzywają na rękę nie chcących waleczyć z niemi. Ale ta armia lilipucia, wspomniana wyżej, zawczasie już wchodzi w nieprzyznane jej żadnym kodeksem prawa. Są to podlotki czternasto i piętnastoletnie, które marzą o wielkich czynach i wielkich zdobyczach, szermują językiem na lewo i na prawo a obalamucione słowami wielkich idei, nadymają się, jak pęcherzyki i chcą świat na swoje kopytko przerobić. Główni, w których nie dobrze jeszcze ułożyły się zwoje mózgowe, przepełnione są marzeniami o biretach doktorskich i doniosłych czynach, jakimi—patrzeć tylko—dwie półkule globu ziemskiego rozbrzmiewać będą; młodzieńskie te sera, skoszlawione, Bóg wie zkad przybyłymi ideami—marzą o takich rzeczach, o jakich żadnym jeszcze nie śniło się filozofom. Daremno bliższe im nieco pokazywać horyzonty, coś szepnąć o jakiś obowiązkach w zakresie zagrody rodzinnej: uśmiech przekąsa malinowe wykrzywi usteczka a tak wzgardliwe spojrzenie przeszyje zacofańca, że mimowoli mróz za kołnierzem poczuje. Emancypacja zrobiła więcej, niż zamierzała—przedarła się tam, gdzie jeszcze nie czas jej było zazierać, i kto wie, czy nie odpokutujemy boleśnie za to jej najście.

— Więc jesteś pan przeciwny biretom doktorskim, które tak wspaniale ozdabiają niewieście głowy? Jesteś przeciwny samodzielności kobiet i przyzwyczajaniu ich zawczasu do umiejętności dawania samej sobie rady?...

— Nie, łaskawe pani!... O was mówiąc, jestem przeciwny wszelkiej przesadzie; mówiąc o niedorostkach, jestem stanowczo przeciwny przedczesnym a zbyt wygórowanym marzeniom i do tego marzeniom — tylko... o biretach. Nie często ten biret może i powinien ozdabiać głowy niewieście, a gdzie, to—u nas, mają one inne a nieco świętsze zadania. W społeczeństwach ukształtowanych tak jakoś, że kury im złote jaja niosą, można czasem popuścić wodze zbyt wygó-

rowanej fantazyi i za dziesiątą górę polecieć; u nas—nie wolno. Potrzeba lot zniżyć i niżej piersią przypaść. Gdzieindziej niech kobiety z professorskich katedr o nowych zdobyczach wiedzy ogłaszają światu, u nas — niestety! katedrą powinien być dom, a słuchaczami — choćby... czeladka. Nie każda ten dom mieć może—przerwie mi głos jakiś.

— Wiem o tem...

To też, na wzór krakowskiego uniwersytetu, nie otwieram kobiecie połowy drzwi tylko; niech się uczy, kształci i zdobywa sobie jak najszerszą wiedzę, która, bezdomnym, może ułatwić sposób do życia, choć i zdobyty tytuł doktora filozofii, jak u nas przynajmniej, nie ściele róż jeszcze pod stopami istot przez czas pokrzywdzonych. Ale wpajanie w umysły dziewcząt młodych tych pragnień gwałtownych, tego wylotu za kopce graniczne po szeroką, szeroką wiedzę: jest złem, które może dla nich osobiście bolesnem rozczarowaniem się odbić, a i społeczeństwu dużą wyrządzić krzywdę. Przy tych aspiracjach, wyraża się w główkach dziewczęcych karygodne lekceważenie tego, co stanowiło, stanowić musi i będzie główny podkład dla cnót domowych: poszanowanie rodziców, miłość rodziny, obowiązek względem Boga i swoich. Może gdzieś są narody, mogące się bez tego obejść, my—nie! Chata kołodzieja niedobrze na swych podwalinach stoi i nie podtrzymują jej dółki, filozofki ale uczciwe szafarki, rzucające ze skarbca swego dużo miłości, która nauczy wytrwać, gdy wytrwać potrzeba i zaniedbaną rolę dobrem zasiał ziarnem. Ta cicha praca na grzędzie własnej, na której coraz bardziej zwyrodniają się rodzime płonki, potrzebuje waszego oka i wielkiego ukochania. Nie rozpinajmy skrzydeł do objęcia, wprowadźcie ponętnych bardzo a szerokich horyzontów, gdy one tej swojskiej grzędy ogarnąć nie są zdolne.

— Ach, pani! — trzepotał niedawno jeden z podlotków—to ciągle powtarzanie: dom, rodzi-

na, cnoty domowe—stało się już frazesem tak użytym, że nie rozumiem, jak człowiek o szerszym poglądzie może jeszcze temi już oddawna zwietrzalimi słowami walczyć. To są działa bardzo starego kalibru, wydobyte z arsenału *Pamiętek po dobrej matce*.

Towarzyszki piętnastoletniej rezonarki zaśmiały się z zadowoleniem, słysząc te słowa równieśniczki swojej, pedagog Wł. Ł., który do rozmowy wypadkowo zasłyszanej wniósł się, ze zdziwieniem spojrzawszy na podlotka.

— Pan się dziwi?

— Bo, proszę pani, są obowiązki, które najpierw muszą być wykonane, po spełnieniu zaś ich dopiero można o czemś innym pomyśleć. Pani nasamprzód musisz być dobrą córką, dobrą obywatelką—a później...

— Dobrą żoną, uległą swojemu mężowi—nie prawda?—dodała z przekąsem.

— W tej chwili nie myślałam o tem, bo—małżeństwo, jest sakramentem—tu już obowiązki zakwestyonowane nawet być nie mogą.

— I pan jeszcze w takie przesady wierzysz?—wykrzyknął podlotek.

Można poczuć dreszcz i kurecz serca i spytać: kto ten sięw rzucił do serc tak młodych? i spytać jeszcze: co robiły matki tych dzieci? Nie wątpimy, że zapomniły one o pacierzu, ale ciężko odpowiedzieć przed Bogiem, który—zaprzeczany, zaprzeczonym jeszcze nie został.

Powyższa rozmowa z podlotkiem, do której po cegiełce swych myśli dodawały i inne podlotki, nie jest wcale kronikarskim zmyśleniem. Opowiadał mi ją przed dniami kilku jeden ze znanych pedagogów warszawskich i znalazł smutne potwierdzenie w słowach pani M., znającej dobrze ten świat dziecinny i piórem dla tego świata pracującej. A przecie ten świat młody, to chaty kołodziejowej przyszłość cała.

Smutno, smutno i po raz trzeci wołam—smutno!

Pomyślcie-no o tem, szanowne panie rzeczniczki „praw kobiecych“, pomyślcie o tem, bo nad zwichnięciem tych serc młodocianych, nad spaczeniem ich pojęć pracuje już wielu.

Wspomniałem powyżej, że nie poszedłbym śladami uniwersytetu krakowskiego, który kobietom dopominającym się o prawa wyższej nauki, połowę tylko drzwi swojej świątyni otworzył. Rzeczywiście postanowienie wydziału krajowego, po długich wędrówkach podanej petycji do ministerium i z ministerium, jest takim dziwolągiem, że już nie śmiech wzbudza (bo rzecz ta nie śmiechu warta), lecz oburzenie nad dziwną przewrotnością umysłów ludzkich. Odmówić słusznym żądaniom kobiet prawa kształcenia się uniwersyteckiego—jakoś w dobiegającym już do końca wieku dziewnym—nie uchodziło; nie pozwolić zaś im pachłoby to dziwnym wstecznictwem i za jaskrawo odbijałoby od zapatrywania się reszty cywilizowanego świata. Odmówić—nie wypada, dać się—nie chce.

Co robić?

Filuterny rozum austriackich formalistów zdobył się na arcydzieło *sui generis*, bo dać i nie dać zarazem—to sztuka nielada.

A jednak—tak się stało.

— Jakim sposobem?

— Bardzo prostym.

W zasadzie—przypuszczenie kobiety do korzystania z nauk uniwersyteckich zostało, zgodnie z wymaganiami czasu—uznane; jednocześnie zaś całą reformę oddano na łaskę lub nie łaskę osobistych zapatrywań się każdego z panów profesorów. Kobieta pragnąca się uczyć, obowiązana jest usprawiedliwić się z tych swoich zachcianek, następnie przekonać fakultet, że to wypełni bez najmniejszej obrazy prawa i moralności, po dokonaniu czego, bocznymi drzwiami wszedłszy, wolno jej zająć miejsce na przeznaczonych w audytorium ławie.

— Nareszcie!

— Co?

— Przetłamane zostały lody.

— Albo to prawda!

Sławetna ustawa, która zyskała poparcie ciała naukowego, mówi wyraźnie, że wolno kobiecie uczyć się, jeżeli już konieczne jej się tego za-

chciewa, ale zdobyta nauka żadnych jej praw nie daje.

— Co to jest?

— A no, nie—tylko wykręcenie się sianem—Bogu świeczka i dyabłu ożóg. Wolno wejść do uniwersytetu, na moźolnej pracy przepędzić lat kilka, stracić może zdrowie i siły i—wyjść sobie, nie mogąc w życiu praktycznym tej zdobytej nauki zastosować. Możesz być doktorem medycyny, ale wara od napisania recepty; posiadasz znajomość prawa—ale klientów ci mieć nie wolno i z tego zysków ciągnąć. Słowem—wrócić trzeba do igły.

Pytanie: Po co nauka, nie przynosząca rezultatów żadnych? Przecie tu nie chodziło o zdobyćie samej tylko wiedzy, lecz zarazem i o możność użytkowania jej w celach praktycznych.

Ba! ale tego ostatniego nie chciano właśnie.

Dano więc—i nie dano.

Dziwne szalbierstwo, oburzająca komedia!

Lecz powróćmy do spraw bieżących naszej pocziwej Warszawki, która, jakkolwiek nie otworzyła dla kobiet drzwi swojego uniwersytetu, jedynem u nas jest miastem, gdzie pierś niewieścia szerzej oddycha i nie jest krępowana rozmaitemi względami i względzikami.

Nie za górami już mamy święta Bożego Narodzenia; gwiazdkowe wydawnictwa dla dzieci syją się jak z rękawa, a coraz wytworniej wyglądają i, tak zewnętrzną szatką swoją, jak i treścią opowiadań, piosenek czy bajek, na bezwarunkową zasługują pochwałę.

Już to w tym względzie zrobiono ogromny postęp.

Nie tak to bardzo jeszcze dawno, jak strona rysunkowa była w ogromnem zaniedbaniu; wierszyk o myszce lub kotku odznaczał się dowcipem i formą ładną, ale mysz za żółto, a kot za zielono wyglądał, nie mówiąc już nic o kształtach przedstawionego zwierzęcia. Ileż to razy na brzeg jakiegoś jeziora wyłaził rak o barwie czerwonej a słońce koniecznie mieć musiało nos i oczy; liście na drzewach podobne były do kłębków waty na fioletowo zabarwionej, koń zaś od krowy nie bardzo się różnił!

— Dla dziecka i to dobrze—mówiono.

I nie pojmowano, jak wielką krzywdę temu dziecku wyrządzano.

Pedagogia na tem polu ogromny przewrót zrobiła.

Rysunki poprawne, stosowne i dobrze nałożone barwy wcześniej już przyzwyczajają umysł dziecięcia do rozkoszowania się w pięknie i wykształca estetyczny smak jego. Dziecko lubiące się bawić ołówkiem i farbami, a mające przed sobą wzór dobry, nie zadowolni się źle nakreślonymi liniami. Zabawa staje się nauką, miłą i pożyteczną rozrywką zarazem. Dziś już coraz mniej widzimy Jasiów niegrzecznych, których za karę, o kształtach karykaturalnych i czapce spiczastej czarownik, zkądś wypadły, do kałamarza pakuje: taki czarownik i kara niedorzeczna na dzieciaka umoralniającą nie wpłynie: dziecko wie, że takich czarowników nie ma, (bo któżby je w innym utrzymywał mniemaniu?)—wie, że do kałamarza, choćby się, nie wiem jak skurczył, nie wlezie, śmieje się z przestraszonej miny niegrzecznego chłopca, ale tego nieszczęścia na seryo do serca nie bierze. O ileż skuteczniej podziałają na umysł dziecięcia przedziwna melodia brzmiące wierszyki Konopnickiej z doskonałymi rysunkami do nich zastosowanymi? Gniazdko ptasie na małej drzewka gałązce, Stach bydełku przygrywający na wierzbowej fujarce, sierotka patrząca przez okno na niebo usiane gwiazdami, matka składająca rączki dzieciny do modlitwy: to wszystko nutą niezapomnianą odezwie się kiedyś w życiu i zbudzi dobre uczucia, niegdyś, niegdyś dobrą ręką w sercu dziecięciem zasiane. Zrozumieli to pedagogowie i umieli przekonać nakładców, że mimo znacznych kosztów,łożonych na te zbyt-kowne wydawnictwa książek dziecinnych, opłaci się to im sowicie.

Gwiazdka! toż to dzień prawdziwego, jedynego może szczęścia dla pociech naszych. Kto na

„gwiazdkę“ poskapi dla Kazia lub Mani i ładnej książeczki nie kupi?

W ogóle zajmujący się statystyką wydawnictwa książek naszych mówią, że ruch książkowy pod koniec bieżącego roku przewyższa znacznie lata następne.

Objaw bardzo dodatni.

Czytamy coraz więcej, i co za tem idzie, myślimy coraz więcej, a każda myśl, wcześniej czy później, w czynach się musi przejawiać.

Już to na ospałość społeczeństwa naszego, na jego wstręt do książek tak bardzo narzekać nie można. Wprawdzie, panowie księgarze uskarżają się na stagnację, złe czasy, na obojętność ogółu—ale to ich zwykła piosnka, której się półuchem słucha i, przez grzeczność, przytakuje się jej czasami. Księgarenka mieszcząca się zrazu w jednym pokoiku, podwaja się, potraja, przenosi się do następnego i coraz więcej pólek zabiera; wieszujesz temu rozmnożeniu się bogactwa, ale właściciel tego skarbu, jakby się lekkał uroków złych, smutnie kiwa głową i mówi z westchnieniem:

— Zawałilo się już, panie, trzy pokoje—cóż, gdy nikt nie kupuje.

Ale pytanie dlaczego się zawałilo?

— Pokarm dla myszy—odpowiada smutnie.

Nie wiedziałem, że są i myszofile.

Niech jednak z tego zawałenia pokoju z książkami, smuć się panowie księgarze: ja ich boleści nie podzielę i rad jestem, że ksiądz prałat Dudrewicz, proboszcz parafii prazkiej, poświęcił nowo-otwartą księgarnię, czytelnię i ekspedycję czasopism Edwarda Kolińskiego przy ul. Targowej na Pradze, jako filię tejże firmy księgarskiej istniejącej już od lat ośmiu przy ul. Marszałkowskiej. Nie zapytywałem szanownego pana Edwarda: co go zmusiło do rozszerzenia tak niewdzięcznego interesu? Ale prawda, że i przy ulicy Targowej są myszy.

Jednym z ujemnych objawów życia mao-wieckiego grodu są nazbyt często pojawiające się morderstwa, napady uliczne, walka na noże, wypadki, jakimi jest przepełniona kronika kryminalna Warszawy. Nie masz dnia, w którymby jakiegoś napadu nie było: w ostatnich czasach nawet na takich ulicach śródmieścia jak Wielka lub Nowy-Swiat, parę morderstw popełniono. Czy zwykły rabunek, czy jakaś zemsta była ku temu powodem, nie wiemy, ale pozostanie fakt faktem, świadczący smutnie o umoralnieniu naszej, do klas niższych należącej, ludności. Przejrzyjmy rubrykę sprawozdań dziennikarskich, a niemiło nam się zrobi; odleglejsze zakątki miasta, dzielnice zarogatkowe, nie zapewniają bezpieczeństwa opóźniającym się spacerowiczom, narożne szynki przepełnione pijanym tłumem niewolne są od podobnych a krwawych przypadków. Jeżeli wprost nędza i głód niejednemu do rąk nóż wkłada, złym też doradcą są wyskokowe napoje, bez których chrzciny ni zaślubiny obejść się nie mogą. Te uroczystości domowe, rozpoczynane bardzo uroczysto, kończą się zawsze prawie wstrętną bijatyką. Żeni się stróż domu, więc musi być występnielada. Jest to jedyny dzień w życiu tej biedoty, w którym wsiadą do karety i z paradą pojadą. Oczywiście, że druchny i drużby i niewielka ilość gości w uroczystej chwili nie pozwala sobie, na wet nowożeńcom, zaimponować: sunie się więc jedna, druga i trzecia kareta, białe kokardy przy kłapach męskich surdutów, wspaniałe bukiety na gorsach niewieścich, „pan“ i „pani“ co chwila się odzywa, słowem wszystko *comme il faut*. Przy harmonii rozpoczynają się tańce, kieliszek zaczyna krążyć, komplementa stają się coraz niewyszukanśzemi powoli „pan“ i „pani“ gdzieś znika, „wy“ przemienia się na „ty.“ — Temperatura się podnosi, gadają wszyscy razem, już „ty“ za delikatne jest teraz: kawaler pannę „chorobą“ nazywa, „psia krew“ po każdym następuje słowie, wreszcie stuk, brzęk, krzyk, wrzask okrutny—noże w robocie i weselisko się kończy wdaniem się stróża porządku, schwytaniem awanturnika, stratą jednego żebra lub oka tak niedawno mile witanego gościa.

Nie są to wypadki pojawiające się raz do roku, możeby rok dnia takiego nie znalazł, w którymby się zaczęło i skończyło, jak Bóg przykazał. Ludek

pije a panowie szynkarze dobre interesa robią. Nie masz jednej nowowzniesionej narożnej kamienicy, w którejby zaraz na zbiegu dwóch ulic nie powstał szynk, a wraz z niemi mnożą się wypadki, o których brzydocie wolelibyśmy nie mówić.

Lecz może pocieszy nas myśl jedna, że w zbiorowisku takim, jakimi są miasta wielkie, *volens nolens* poziom moralności natłoczonego ludu, znacznie niższym być musi, niż po wsiach.

Niestety!

Dochodzące ztamtąd wieści, gnębiącym smutkiem napelniają duszę.

Powoli, ale zdziwienie obyczajów wzrasta, wkrada się do rodzin kmiecyh i smutny na przyszłość horoskop stawia. Syn morduje ojca, żona truje męża, a zgrozą nas przejął wypadek bardzo świeżej daty, w którym ojciec rodziny, starzec blisko ośmdziesięcioletni, strasznym aktem zbrodni syna i wnuków się pozbawia.

W tem cóż jest, jakieś wynaturzenie się pojęć, którego przyczyny zbadać potrzeba i zapobiedz rozprzestrzenianiu się choroby.

Jak miło po wpatrzeniu się w ciemności wyjść na łagodny blask słońca i ogrzać się ciepłem jego promieni; z jaką skwapliwością w paśmie szarych ulic jedną nie złotą odnajdujemy, a jeśli ona jest jeszcze nitką szczęścia, to już nie masz granic radości naszej.

Niedawno czyn bardzo piękny a niezwykły zarazem zapisały kroaki pism naszych. Dla bel letysty mógłby służyć za temat do bardzo wdzięcznej powieści, tem miłszej, że z życia wziętej, z tego życia, które nie jest poematem, lecz często bolesną satyrą bywa.

Oto — nie bajka:

Pani S. była ładną młodą wdówką i do niedawna właścicielką jednego magazynu strojów damskich w mieście naszym. Pewnego dnia zjawił się jakiś młodzieniec ze wsi przybyły wraz z siostrą swoją, która, potrzebując dopełnienia swojej toalety, poszła z bratem do magazynu pani S. Panience podobał się kapelus — młodemu panu do gustu przypadła piękna właścicielka sklepu. Zapoznanie się, niewinny flirt, oświadczenie i przyjęcie — niewielkiego już wymagały trudu, tem bardziej, że i młodzieniec od pierwszego spojrzenia pociągnął ku sobie serce niewieście.

(Tu następuje mała uwaga: w powieściach, tak szybkie zakochanie się jest nienaturalne, oświadczenie na dzień już drugi i — przyjęcie, skompromitowałyby autora w oczach krytyków. Nie! muszą poznać się, po trzech miesiącach, mniej więcej, zakochać, ku końcowi trzeciego kwartału oświadczyć się i dwunastego miesiąca ślub wziąć dopiero. Taki raptus uczucia, jak w powyższym wypadku, jest nie zgodny z obserwacją tych panów. Ciekawym, co oni teraz powiedzą?)

Ale wracam do ciekawej opowieści.

Niedawna modystka, którą nie raz znużyły kaprysy rozmaitych strojni, stała się naraz żoną bardzo zamożnego obywatela ziemskiego (Jak w powieści.)

Lecz co zrobić z magazynem, który klientelę ma wyrobioną i przedstawia wartość 6.000 rs? Zwinąć — szkoda, sprzedać — od razu trudno, a niecierpliwa parka do swojego gniazdeczka się spieszy.

Nagle szlachetna myśl rodzi się w głowie pani. — Postanawia magazyn darować. Wzywa więc pracownice swoje i trzem pannom starszym przekazuje magazyn na własność.

„To wasze! a jak się dorobicie, wartość dzisiejszej darowizny oddacie biedniejszemu od was!”

Wyobrażamy sobie radość biednych panien z nieoczekiwanego podarunku, i to zadowolenie, które przepełnić musiało serce ofiarodawczyni na widok uszczęśliwionych.

Mieć szczęście i komuś dać szczęście — to są dwie rozkosze równe sobie.

Na zakończenie musimy wspomnieć o nowej a wielce humanitarnej instytucji, której celem jest: ubogim dzieciom uczęszczającym do ochron, dostarczanie potrzebnych ubrań.

Stowarzyszenie to dobroczynne wybierać będzie spośród siebie komitet złożony z trzech opiekunów i zapraszać według swego wyboru panie i inne osoby. Członkowie Towarzystwa dobroczynności zobowiązują się w tym celu dobrowolnie płacić od dzieci swoich po 50 kop. za głowę. Komitet, według uznania kupuje odzież lub rozdzielają fundusze na nią pomiędzy najbardziej potrzebujących.

Utworzenie tej szlachetnej instytucji powołała chęć uczczenia 50-letniej działalności dr. Karola Jurkiewicza, i dla tego to stowarzyszenie nosi ma nazwę:

„Przyodziewek dla biednych dzieci imienia Jurkiewicza.”

??

KSIAŻKI DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

Książka daje dziecku wiedzę o życiu, której nie może ono posiadać przez osobiste zetknięcie się z ludźmi, bo niezdolne jeszcze do obserwacji i sądu o faktach, nie umie wyciągnąć z nich sobie potrzebnych tu wniosków, które książka dobrze napisana ukazuje mu w świetle odpowiednim, aby to, co jest dobrem i pożytecznym, lub złem i szkodliwym, uwidatniało się należycie. Najlepszą też koleją dla dziecka, dla młodzieży, jest książka, trzeba tylko, aby odpowiadała zadaniu swemu przez wpływy umoralniające i rozbudzenie chęci do czytania wskutek zajęcia wyobraźni, chciwiej poznać to życie, u którego progów stoi. Obfity plon na tem polu przedstawiała w bieżącym roku księgarnia Gebethnera i Wolffa, dzieci małe dostały pod tytułem: „W ogródku dziecięcym, zbiorek zabaw, piosenek i marszy” z zastosowaniami do nich melodiami, odpowiadającymi skali głosu dziecięcego, a bardzo miło brzmi tu nuta swojska z tematów ludowych. Taka piosenka naprzykład: „Gospodarzu nasz, piękne żytko masz”, lub „Po przejrzystej wodzie głębokie mała łódka cicho płynie” zabrzmi wdzięcznie w usteczkach dziecka i rozbudzi zamilowanie śpiewu, muzyki. Zbiorkiem tym obdarzyły pożytecznie światek dziecięcy p. p. Jadwiga Warnke i Ludwika Jacholkowska.

„Nasi znajomi, dwanaście powiastek dla dzieci od lat ośmiu” przez Z. Morawską, wydanie drugie z sześciu rycinami, traktuje odpowiednio do umysłów młodziuchnych kwestyą nauki — oświecenia umysłu, które pomaga człowiekowi żyć, bo rozumieć życia stosunki i cele jego wyższe, niż istnienie materialne. Jest tu poruszona i ta ważna kwestya pracy rąk, rosąca znojem gorącym czoła tych skromnych robotników, którzy, zajmując miejsca niższe w hierarchii społecznej, stanowią podwaliny, na których dźwiga się gmach oświaty, cywilizacji, jak to przypominała już młodzieży Tańska. Jest tu poruszona i kwestya biedy — tych braków materialnych, które hartują człowieka i uczą go mężstwa, jeżeli tylko potrafi patrzeć na życie nie z tego punktu ubitej, wyglądzonej jego drogi, na której noga nie trafia nigdy na kamień.

„Dobra wróżka, powieść dla dzieci od lat dziecięciu do dwunastu, wolny przekład z francuskiego” przez Anielę Sulicką, ma tę wielką wadę, że przedstawione są w niej błędy i winy rodziców, które oddziaływały na dzieci, poprawiające się z nich, skoro dostają się pod inną opiekę, umoralnione, uszczęśliwione przez pracę. Jest to zatem krytyka wychowania bynajmniej nie wchodząca w zakres książki przeznaczonej dla młodzieży, a nawet źle oddziaływającej na umysł, bo podkopująca wiarę w rozum, w doświadczenie rodziców, wychowawców. Druga, mieszcząca się w tym samym tomie fantastyczna „Powiastka o wietrze” przełożona z czeskiego oryginału utalentowanej powieściopisarki, Eliszki Krasnoborskiej, tłómaczoną jest dobrze i przedmiot jej zajmujący, przedstawia lepsze, dobre wzory życia. Jest to rodzina zubożała, która dźwiga się przez pracę a energią, jaką wytrwale przytem rozwija, siłą woli panująca nad słabością, nad fałszywym wstydem ubóstwa, staje się też dobrym wzorem dla młodego umysłu.

„Baśni dla dzieci i młodzieży” opracowane przez C. Niewiadomską wedle oryginału niemieckiego braci Grimm z szesnastoma rycinami i wstępem z kilku zwrotek poezji Asnyka, a już ten piękny wstęp wykazuje czytelnikowi nastrój z jakim książka jest pisana i czego chce za jej pośrednictwem dokonać autorka. Uczucie poezji w piersi dziecka rozbudzić, to ubogaci życie jego całe skarbem drogocennym, bo ten kto ją posiada, inaczej patrzy na życie i innych życia tego dróg szuka, niż ta istota zimna, która, do ziemi przyrosłszy całkowicie, nigdy ani myśla, ani wzrokiem w wyż nie wybiega.

„Zbliżka i zdaleka, powieść dla młodzieży” przez Edwarda Nałęcza, zaliczyć można do najlepszych książek dla młodzieży, tak ze względu na przedmiot, jak i na talent autora, który obok zajmujących, dalekich stron świata, przedstawia obraz szlachetnie znoszonej zmiany losu rodziny, co — to umie mężnie wziąć ciężar swój na ramiona i nie upadając pod nim, idzie drogą tych ludzi dzielnych, którzy mając podniosły cel przed oczyma dążą do niego wytrwale. Jest tu obok tego taka miła, ciepła atmosfera uczuć tkliwych, przy których grzeją się serca i myśl w stronę dobra, piękna moralnego kieruje — jest taka miłość rodzinnego swego kąta, że pragnąć można, aby każdy młody czytelnik i czytelniczka, którym dobra ta książka w ręce się dostanie, przeczytali ją uważnie, a potem do biblioteczki swej schowali, aby w chwili jakiejś ciężkiej, w chwili jakiejś trudnej, mogli pokrzepić nią sobie odwagę i zarazem wzruszyć serce uczuciem świętej miłości kochanej siedziby rodzinnej.

„Dzieńcie Otoka, powieść dla dorastającej młodzieży” przez Teresę Jadwigę, przedstawia szlachetną i rozumną kobietę — kobietę mężną, która życia lekkomyślnie marnować nie chce. Jest to córka rodziny ziemiańskiej; ojciec jej, wdowiec, ożenił się raz wtóry — ożenił się źle, bo ta którą pojął za małżonkę i chciał uczynić drugą matką swych dzieci, nie miała cnót potrzebnych do tego, aby być żoną dobrą w wyższym tego wyrazu znaczeniu, przewodniczką staranną i rozumną dla przybranych dzieci. Na szczęście, córka z pierwszego małżeństwa, Terenia, która to czuje, poświęca się całemu sercem, całą siłą woli wychowaniu brata, stara się o ile może, aby gospodarstwo szło dobrze, nie myśląc bynajmniej o sobie — o swojej wygodzie, swojej przyjemności, gdy nagle uderza w nią grom nieszczęścia — umiera najpierw macocha, zaziębiwszy się na balu, umiera zaraz wkrótce ojciec, zmęczony moralnie i fizycznie życiem utrudzającym i trosk pełnym, zdając na nią opiekę nad bratem, zdając na nią obowiązki utrzymania się przy ziemi, którą od wieków dzierżyli jego ojciec i dziady, a którą on, niestety, obciążył znacznym długiem. Liczył on na to, że potrafi go spłacić powoli, ale śmierć przyszła wcześniej, niż się spodziewał, i oto na słabe ramiona niewieście spadł ciężar okrutnej walki z życiem pełnym trosk i pracy trudnej dla kobiety — dla młodej panny.

Ale miłość jest odważna: kochała ona to, co kochał i cenił jej ojciec — ten kawałek ziemi, na którym rodzili się i pracowali jej przodkowie, był jej drogim, pragnęła oddać go bratu, gdy dorosnie: więc odważnie stanęła do pracy i nadermnie ludzie straszyl ją tem, że bierze na barki ciężar, któremu nie podoła. Stary rządcza, przywiązany do rodziny, stanął jej tu do pomocy, a choć ludzie nie chcieli uwierzyć, aby wytrwała w postanowieniu, ona przecież wierzyła w siły swoje, bo to, co przedsiębrała, miało dla niej wagę obowiązku. Otoczenie przyjaźni, jakich sobie dobrała, ludzi którym powierzyła kształcenie brata, pomagało jej w tem, i piękna jest w powieści ta scena, gdy jeden z kolegów tego brata ozwał się, że minęły już czasy bohaterów i bohaterstwa, lecz przełożony zaprzeczył mu, dowodząc, że najprostsze napozór zadania życia mogą dać pole do bohaterstwa, do rozwinięcia sił dzielnych. Bohaterami są wszyscy ci, którzy stają na wyłomie pracy pożytecznej i walcząc przez zwyciężają przeszkody, przed którymi cofnąłby się człowiek słabego ducha. Są bohaterowie pracy, są bohaterowie nauki, jak na przykład Franklin badacz stref podbiegunowych, podróżnik Livingstone,

Balmut, który pierwszy wdarł się na najwyższy szczyt góry w Europie, i cały szereg takich ludzi. Bóg nie rozkazuje nikomu, że ma ująć taki tylko a nie inny kawałek drogi życia i Zygmunta Krasinski nie mylił się, dowodząc: „Znajdź sobie drogę światła, a wzbijesz się w nieskończoność“.

Gdy mimo to chłopiec ozwał się smutnie, że jego zadaniem jest siedzieć na wsi i siał żyto, przełożony odparł mu mądrze: że i tam jest pole do poświęceń, do walki i zwycięstwa. Przedstawienie z tej szlachetnej strony wszelkiej pracy użytecznej, choćby najprostszą była, przez związaniem jej z myślą szlachetną, jest wysoką zaletą książki i czyni ją wielce pożytecznym czytaniem dla młodzieży. Ideę postępu uwydatnia autorka przez przykład wzięty z poezji Zygmunta Krasinskiego.

Wszak my jedni i ci sami,
Tylko coraz wyżsi, Panie..

„Podróż bez pieniędzy“ przez Władysława Umińskiego z zaciekawiającymi już młodego czytelnika rycinami, należy do tych najmocniej zajmujących powieści dla młodego wieku, których typem nigdy nie przestarałam, jest Robinson Crusoe. Tylko, że Robinson przebywał przeważnie wśród natury, królując na wyspie swojej i rozrządzając się wśród jej bogactw, gdy tu gro- no podróżnych i załoga statku *Colombo*, kursującego między Kalkutą a Tokio, uniesionego z drogi swojej przez wzburzone bałwany, przebywa rozmaite przygody, pełne scen dramatycznych, zdolnych zając silnie młodego czytelnika barwnością swych obrazów i zarazem przynoszących mu wiele pożytecznych wiadomości, tak z zakresu geografii, jak i przyrodoznawstwa. A jest tu świadkiem tego nasz ziomek, Janusz Mirski, młodzieniec w tym wieku, w którym rozbudza się najsilniej w umyśle pragnienie wiedzy o życiu i świecie. Chce on objechać świat, poznać tę matkę ziemię, która tysiącem form i odmian życia nęci jego ciekawość; że przecież młodość tak potrzebuje wymiany myśli jak uczuć, młody nasz rodak zawiera przyjaźń z młodym również Włochem, Verni, tak jak on energicznym i wiedzy checiwym.

Nagle na pełnym już morzu olbrzymi bałwan uderza tak w statek, że uszkodzony ster nie pozwala już przebyć cieśniny Malakka i trzeba zarzucić kotwicę w ujście rzeki, po bokach której widniały pola pokryte kłosami ryżu, oraz plantacje cukrowej trzciny i kawy. Ta nowa w obrazach swoich natura pociąga do siebie Janusza i jego towarzysza. Korzystając z czasu dwudziestu czterech godzin, potrzebnych dla naprawy statku, młodzieńcy wysiadają na ląd w Sumatrze, i niestety, nie wracają już na okręt, zaskoczeni przez niespodziewane zdarzenie: walkę z krokodylem, wskutek której zapoznili się w wy-cieczce swojej.

Zaczyna się teraz ciężka walka z losem, bo pieniądze, któreby im ułatwiły dalszą podróż, zostały wraz z kuframi na okręcie i życie staje się teraz dla dwóch zupełnie ogołoconych z grosza podróżników ciężkim, trudów pełnym, lecz, na szczęście, są młodzi, więc mają tę siłę fizyczną, która staje do pomocy sile moralnej. Tułają się przecież z uznojonem czołem po świecie szerokim, pracują ciężko, dostają się w końcu do Ameryki, nie wydając ani dolara, którego nie posiadali, aż nakoniec mogą w lepszych już okolicznościach zawiązać korespondencję z Kalkutą. Odzyskują swoje mienie i wsiadają na statek, który ich przewiózł do Europy, co może nie zadowolni młodych czytelników, czytających zapewne z wielkim zajęciem te przygody, te opisy walki z losem ludzi, którzy muszą torować sobie ciężko drogę przez życie. Dobra to przecież książka, która dzieje ich przedstawia, bo nauczająca, jak to wy-trwałość i energia ratuje ludzi w trudnych chwila- ch życia.

Razem *Gwiazdka* tegoroczna przyniosła młodym czytelnikom za pośrednictwem księgarni Gebethnera i Wolffa znaczną ilość bardzo dobrych książek, co jest rzeczą niemałego znaczenia, bo uskrzydlić szlachetnie młodą wyobraźnię: to dać

dobre nagięcie życia—postawić przed oczyma ideał, który nie da już pełzać nisko przy ziemi i każe oczom podnosić się ku górze.

M I.

BEZ WOLI

POWIEŚĆ

przez

WANDĘ GROT. BĘCZKOWSKĄ

(Dalszy ciąg).

Nieklamana przyjemnością w tem przymusowem życiu na obczyźnie były listy Kamienieckich i wonne eleganckie bileciki Lory.

Nieszczęśliwi krewni byli częstym przedmiotem rozmów między małżonkami.

— O Wandzie jestem spokojną—mówiła Halina do męża. — To dziewczę ma charakter i zapatrywania bardzo poważne... Pojmuje wartość pracy i wstydzić jej się nie będzie...

— Twoja to zasługa, Halinko—odparł Lucyan. — Podziwiałem niejednokrotnie wytrwałość twoją... Pani Stanisławowa serdecznie cię nie lubiła i widziałem, jak usiłowała zawsze, dobry twój wpływ niweczyć. Biedna ciotka wobec nawału zajęć gospodarskich i takiego bezprzykładnego chaosu w interesach o dzieciach myśleć nie mogła.

— Alboż Lila byłaby pozwoiliła? — przerwała Halina żywo. — Starala się przecież o to usilnie, aby je jak najdalej od babki usuwać. Ach Boże! Co to w końcu z tego wszystkiego wyniknie? Ta walka z losem z dniem każdym trudniejszą się dla nich staje... Czyż to podobna, aby uratować mogli Kamieńce?

— Nie łudź się, droga!...—odpowiedział Lucyan poważnie. — Muszą uleść, pokopani brakiem pieniędzy. I my, nie będziemy mogli jak dotąd, dopomagać im... Mamy już obowiązki...

Halina zarzuciła mu ręce na szyję.

— Chyba i tak nam wystarczy, mężusiu — szepnęła słodko.

Ucałował ją i rzekł żartobliwie.

— Nie wiem, aniółku. Przypuśćmy, że Józio będzie miał siostrzyczkę, siostrzyczka ta, zechce mieć znów braciszka i tak dalej i dalej...

A wtedy? Musimy o tem pamiętać, najdroższa!... Zarumieniona po same oczy Halina ukryła głowę na piersi męża.

— Eel... niedobry jesteś!—mówi cichutko. — Niepocziwyl!

Lucyan ze śmiechem całował warkocz żony.

— Kochanie moje—zaczął po chwili poważnie—w moim żarcie tkwi jednak myśl praktyczna; wiesz o tem chyba i upewniać cię nie potrzebuję, że z równą chęcią dzieliłbym się z Kamienieckimi zawsze, gdybym widział, że to się na coś przyda. Przedłużona egzystencja w Kamieńcach, nie doprowadzi do niczego. Wprawdzie odkąd wrócił Borzycki, gospodarstwo ma znowu pracowitego i sumiennego kierownika, ale—to nie wystarczy! Nakładu potrzeba, nakładu i dziś i jutro i pojutrze, a tego, nie wyciągną już z Kamieniec.

O ile sobie przypominam, Lora pisała ci niedawno, że babka od kilku miesięcy nie przysyła im pieniędzy. Kto wie, co się tam dzieje? Mówię z tobą szczerze i otwarcie, żoneczko, bo tę drogę uważam za najlepszą: czas nam pomyśleć i zastanowić się. Więcej pomagać nie będziemy mogli. Czy pani moja, obliczała kiedy: ile włożyliśmy w Kamieńce? Kapitał to bezprocentowy kochanie, utopiony w lekkomyślności żony, nieudolności męża, bez rezultatów, bez przyszłości.

Halina westchnęła. — Masz słuszość zupełną, Lucyanie—rzekła. — Nieraz, sama już nad tem myślałam... Tak mi jednak żal biednej cioci i dzieci

i Stasia... a Kamieńce... Otarła z łez oczy. — Nie śmiej się ze mnie, mój drogi, ale ja i do ziemi przywiązuję się bardzo.

Lucyan patrzył na nią z uwielbieniem, z zachwytem niemal...

— No, i co dalej, Halu?—mówi miękkim głosem; radby słuchać jej jeszcze i patrzeć na nią.

Halina z wdzięcznością spojrziała na męża. — Dobry jesteś!...—szepnęła, głaszcząc go pieszczotliwie po twarzy. — Wiem, że ty mnie pojmujesz i kochasz to, co ja kocham! Ty nie pozwoliłbyś sobie odebrać Chronowa, tak, jak ja Bielowiec. Czy wiesz? zarumieniła się jak dojrziała wiśnia i spuściła oczy.

— Co ukochana? O czem chciałaś mówić? — pyta Lucyna, tuląc ją do siebie.

— Chciałam ci powiedzieć—odpowiada cichutko, że to był powód najważniejszy, który, zniechęcił mnie do Stasia. I ojezulek bardzo mu to miało za złe. Czyż można miłość dla takiej, jak Lila, kobiety postawić wyżej, niżeli obowiązki dla tych, którzy odeszli, pozostawiając nam w spuściznie co najdroższego mieli? A jakież on rachunek dzieciom swoim złoży kiedyś? Bardzo, bardzo mi przykro, że Staś tak postąpił... W sercu cioci to rana nie zagojona nigdy...

Wzruszenie ogarniało ją zaczęło, Lucyan przełakł się...

— Dostyc już, dostyc, najdroższa — przerwał szybko. Nie mówmy już o tem; wzruszenie ci szkodzi, a ja, niebaczny, zapomniałem... Wszystko w ręku Boga. Może On jeszcze jak najlepiej pokierować tą sprawą... Lorcja zrobi świetną partya, o co znów za granicą nie tak trudno, i ocali Kamieńce...

Wiesz, Halu? O ile ją pamiętam Lora, będąc dzieckiem, uderzała każdego niezwykłą pięknoscia a i fotografia, którą ci przesyła, mówi ci o tem. Po co my się martwimy? Wiadomości z Drezna nie miałaś dawno; może już kto zabrał na wyłączną własność twoją pupilkę?... Kto to wie!

Nie chybił celu. Radosny uśmiech przebiegł po twarzy Haliny.

— Prawda, — mówi z przejęciem — Lora jest prześliczna! Wyobraź sobie, Lucyanie, nie wiem, czy dlatego, że z tem upartem, samowolnem dzieckiem najwięcej miała kłopotu, ale Lorę kocham bardzo, bardzo... więcej, aniżeli Wandę, dla której, wyznać muszę, czuję szacunek pewny... Wczesna jej powaga zdumiewała mnie, hart ducha, budził podziw... A jednak w tym płacziwym umyśle Lorki budziły się nieraz myśli poważne, w sercu całe bogactwo uczuć szlachetnych... Tylko, takie istoty nie bywają nigdy szczęśliwymi... dodała ze smutkiem.

— Masz tobie! Nowy kłopot! Gotów jestem stracić sympatyę dla twojej faworytki, Halinko—zawołał Lucyan.—Zanadto sobie główkę nią kłopotujesz, kochanie!

Halina wzdychała, niepokoila się i zima zesła w ten sposób.

Z utęsknieniem oczekiwano powrotu do kraju; doktor atoli ustalonej już wiosny czekać kazał.

— Znam ja te wasze wiosny—drażnił się z Haliną, którą serdecznie polubił.—O, znam! W poezji, róże, słowiki, niebo błękitne i słońce złote... a w istocie: błoto, chmury, niby jakie ptaki czarne latają po niebie, wiatr świszczący, deszcz pluska, ile mu się podoba. Niel naszego panicza nie możemy na to narażać.—Więc czekali.

Pewnego wieczora, kiedy właśnie milczenie Kamienieckich tłómaczono sobie jaknajlepiej, pocztą przyniosła listy.

Halina gorączkowo rozerwała kopertę, poznawszy charakter ciotki.

— Ach, mój Boże, Kamieńce sprzedane na licytacyi!—zawołała.—Lucyanie, czy słyszysz?—Nadbiegł zaraz, zatrwożony głosem żony, i wspólnie czytać zaczęli.

Niestety, smutne to były wieści! Rozbolała Kamieniecka: krótkimi słowy donosiła o samym fakecie; w liście Wandy dopiero znalazło się nieco szczegółów.

— No, widzisz, mój drogi, co się to tam porobiło?—mówiła, trzęsąc głową Halina, poruszona do żywego. — I pomyśleć, że wszystko stracone! Co oni robią teraz, mieszkając w Warszawie? Po-

wiedz mi, Luciu?—Ale i Lucyanowi trudno było na razie pocieszyć ją. Wiedział, że nadto dobrze, że Warszawa, jakkolwiek zdaleka dużo obiecuje, nielitościwie zdiera złudzenia, gdy się ją bliżej pozna. Nakoniec, któryż z tych nieszczęśliwych rozbitków usposobionym jest do pracy? Nie Kamieniecka przecież, i nie Stanisław, bo, jak Wanda donosi, ojciec jest słaby i nie można przy nim wspominać nawet o interesach. Muszka i Jerzy potrzebują rozpocząć dopiero nauki, więc pozostaje jedna Wanda tylko. No, byłoby śmiesznym wymagać, aby młoda ta dziewczyna, pracą swoją, — jeżeli ją zdobędzie — potrafiła cały dom utrzymać. Te parę tysięcy, które im pozostały, zjedzą, oczywiście, w ciągu roku jednego.

Myśleli, medytowali, Halina nie zmrużyła oka tej nocy.

Przy śniadaniu, Lucyan aż wstał targnął niecierpliwie, gdy ją zobaczył. Mizerna była i sińce miała pod oczami.

— Tylko się nie martw, moja jedyna. — Prosił, przyrzadzając jej kakao. — Znajdzie się przecież jakaś rada... W przejeździe do domu będziemy w Warszawie; może się wspólnie coś obmyśli...

— Ach, gdyby, gdyby już jak najprędzej... — westchnęła Halina i od dnia tego, godziny do powrotu liczyć zaczęła.

Minął Kwiecień i w połowie Maja zbierać się do drogi zaczęto. Halina poweselała, Lucyan hustał syna i coraz-to piękniejsze bajki opowiadał mu o Bielowcach. P. Kłotylda tylko, z jednakim zawsze smutkiem, przesuwiała się, milcząc, między niemi, nosząc się z jakąś myślą ukrytą, której przed czasem zdradzić nie chciała.

W wigilię wyjazdu mały Józio wstał z oczkami zaczerwienionymi, buzią jakby nabrzęklą, grymasił i raz po raz pokazywał na główkę, że go boli. Halina zauważyła, że z trudnością połykał mleko, a w końcu się rozplakał i wcale pić śniadania nie chciał. Posłano natychmiast po lekarza.

Stary Francuz, zakochany w swoich polskich pacjentach, przybiegł, o ile mógł, najprędzej.

— No, no, nie tak wielkiego! — mówił do rodziców, przerażonych chorobą jedynaka. — Zobaczymy, obejrzymy! Zapakowaliśmy żołądeczek, paniczku, i zjadł cała bieda.

Pukał, słuchał, rewidował chłopca ze wszystkich stron i — twarz mu się zasępiła.

— Niema nic złego, droga pani — rzekł do Haliny. Doprawdy! poco się zaraz tak trwożyć!

Przepisał lekarstwo i dziecko kazał położyć do łóżka.

— W każdym razie, wstrzymamy się z wyjazdem jakieś dni kilka — mówił, namyślając się. — Ci mali pacyenci to tak potrafią... Zdrow, biega, uszy puchną od krzyku, potem naraz lecho jakiego przypłaczę i marsz do łóżka. Ale to nie, droga pani! Oni za to szybko się poprawiają... Będzie dobrze, będzie!

— Obiecał przyjść przed wieczorem. Halina zajęła miejsce przy łóżeczku dziecka. Grymasiło, więc ojciec znosił coraz-to inne zabawki, a matka pieściła synka i nuciła znane już, ulubione melodie Józia, dopóki sen oczął mu nie skleił.

Spał jednak źle, gorączkowo. Chwytał usteczkami powietrze, ciało rozpalalo się coraz więcej, mimo to, że budząc się często, wołał: „mamo, ziu-ziu“... i okrywać się kazał.

Tak zeszło do wieczora. Babka od czasu do czasu, z modlitwą na ustach, wsuwała się do pokoju dziecka, popatrzyła, pokiwała głową i, nie zbliżając się nawet do Haliny, wychodziła. Miała przecucie niedobre, trwogę niezmierną w oczach, więc uciekała przed wzrokiem córki.

— Sam jeszcze nie wiem... — mówił doktor po obejrzeniu chorego malca wieczorem.

— Gorączka jest? — Dłaczegoby nie miała być? W takich wypadkach zawsze bywa... Kochany panie — zwrócił się do Rolskiego — trzeba by to jakoś pani przełożyć... Ja-bym rad poradzić się kolegów... Może pan przygotuje żonę, aby się nie przestraszyła.

Rolski zbladł i zachwiał się.

— Więc, więc jest coś bardzo złego? — szepnął ledwo dosłyszalnym głosem.

— Bądź-że pan mężczyzną — odparł doktor, udając surowość, która rozrzuwanie pokryć miała. — Dzieci nie z takich chorób wychodzą... Malec silny, przetrzyma.

Halina, z nienaturalną spokojnością, wysłuchiwała męża, który, sam od siebie niby, żądał lekarzy, w pomoc staremu przyjacielowi. — Kto wie czy on nie przesadza ze zbytniej o naszego chłopca troskliwości? — mówił z uśmiechem kłamanym na ustach.

Cóż ty na to powiesz, żonusi?

— Wezwij kogo tylko chcesz — odparła. — A nie sil się na wybiegi — dodała z ponurym błyskiem w oczach. — Zapomniałeś chyba, że serca matki nikt nie oszuka.

Odeszła od męża lodowato spokojna, bez łzy w oku, kredowo blada.

Rolski ścisnął głowę rękami i wybiegł. Była północ blisko, gdy wrócił nareszcie, wiodąc dwóch, wskazanych przez doktora, medyków.

Doktor, czuwający przy chorym, wyszedł ku nim. Rozmawiali czas jakiś... potem przeszli do pokoju dziecinnego.

Halina ustąpiła im miejsca przy łóżeczku dziecka. Stała przy oknie i wzrok ku niebu poniosła. Modlić się nie mogła; może myślała o tem, że tam, w górze, Matka Boska boleść jej widzi i ulituje się...

Po chwili ramię męża objęło ją. Był bardzo blady i widoczny niepokój przebijał się w jego oczach.

Nie był zdolny go ukryć.

— Bóg nas ciężko doświadcza, moja najdroższa — rzekł cicho — ale miejmy ufność w Jego miłosierdziu. Dzieci nieraz ciężko chorują i, wierząc mi, młodziutki, niezużyty niczem organizm dziecka, dużo znieść może. — Halinko, żono moja ukochana — prosi, czując jak drży biedaczka — nie rozpaczaj, uspokój się!.. Synek nasz wyzdrowieje i będziemy szczęśliwi jak dotąd...

Ach, jakież to rozdzierające spojrzenie zwróciło się teraz ku niemu! Beznadziejnie smutne, głębokie oczy Haliny patrzyły w twarz męża badawczo, przenikliwie, jakgdyby do samego dna duszy dosięgnąć chciały.

— Nie — mówi szeptem, prawie nieprzytomna. — Ja, nie mam nadziei i ty... ty się z nią rozstań także. Ja wiem... czuję to: o, mojego serca nie nie oszuka... Bóg nam odbierze dzieciątko nasze... Wczoraj w nocy... przytuliła się do męża przerażona — wczoraj, śniło mi się, że ojczulek wołał na Józia i wyciągał ku niemu ręce... I mój synek maleńki biegł szybko na wołanie dziadka i nie pomogły prośby i zaklęcia, aby nie zostawiał mnie samą... Obudziłam się przyniesioną wrażeniem i — Lucyanie, krzyknęła bezprzytomna — czy — czy Bóg, który jest miłosiernym, wymaga od matek, aby żyły, gdy im odbiera dzieci?

Lucyan jęknął głucho.

— Halino, błagam cię, ulituj się nad sobą i nademną — zawołał. Nie mógł mówić więcej, łzy dusiły go w gardle.

Nadszedł doktor.

— Kolledzy moi — rzekł, pragnąc odjechać — widzieli już malca i, jak dotąd, twierdzą, że niebezpieczeństwa wielkiego niema. Nie jest to żadna skomplikowana choroba... Zapalenie mózgu często spotykamy u małych pacjentów. Niech państwo się uspokoją...

— Może pani usiąść przy małym — dodał pocziwy starszerek. — To mu nie zaszkodzi. Ja będę obok czuwał...

Lucyan podziękował lekarzom, przemówił kilka słów gorących i dał im poznać, że niczego szczególnego nie będzie, byle dziecko pomoc i opiekę ich miało w każdej chwili.

— Robimy co można — odpowiedział z nich jeden, ze współczuciem, patrząc na zmienioną twarz biednego ojca.

— Wszystko w ręku Boga — dodał drugi poważnie. — Dobrze byłoby, gdybyś pan, na wypadek wszelki, przygotował żonę. Młodzi państwo jesteście, możecie się jeszcze dużo takich robaczek dochować.

— Więc niema nadziei? — Lucyan sam swego głosu nie poznał.

— O, któż to mówi? — zaprzeczył lekarz. — Nadzieja jest zawsze, do ostatniej chwili... Musimy, powinniśmy ją mieć... Uważa pan łaskawy, obawiamy się konwulsji... Te-by nam były nie na rękę... No, może do tego nie przyjdzie.. Bóg da!

Ostry, przenikający krzyk rozległ się w sypialni dziecka. Lekarze znacząco spojrzeli na siebie; Lucyana już przy nich nie było.

— Możemy jechać — rzekł jeden z nich. — Kolega będzie czuwał, myśmy tu niepotrzebni...

Jakkolwiek z wszelkiego rodzaju bólem oswoleni byli, ten krzyk bolesny, krzyk istoty, której, zdało się, serce wyrwano z piersi, przykro na nich oddziaływał.

— „Pauvre femme!“ — mruknął do siebie jeden.

— „Pauvre mere!“ — szepnął drugi, wsiadając do karety. Wzruszeni byli obaj.

Dnia trzeciego pod wieczór Józio zrobiło się lepiej. Temperatura spadła, dziecina na rękach matki uspokoiła się... Konwulsje przemigły; przygasły, ale przytomne oczka patrzyły na matkę. Nadzieja wstąpiła w serce nieszczęśliwej.

— Oby tylko zasnął teraz — szepnęła z gorącą do nieba prośbą.

Zwolna, leciuchno, kołysać dziecko do snu zaczęła. Wśród ciszy nocnej ozwał się głos dzwiczny, słodki...

Zbolała matka nuciła do snu dziecinie. Przypomniała sobie, jak maleństwo uśmiechało się zawsze rozkosznie, ilekroć głos matki śpiewem je usypiał.

Cóż ztego, że serce skamienieje z bólu? Łzy gorące, spadają na blade czoło dziecka. Ona śpiewa. Nie widzi nic i nikogo, oprócz tej liliowej twarzyczki, którą do piersi tuli. A jak śpiewał Kamień-by zapłakał. Ten tylko, dla którego matka nuci smętną piosenkę — nie zapłakał.

Leżał cichutko w objęciu matczynym i przymykał zwolna zwolna oczęta, aż zamknął je na zawsze.

A matka wciąż śpiewała.

Kiedy wreszcie Lucyan, spostrzegłszy trupią już twarzyczkę dziecka, wyrwał je prawie przemocą z objęcia matczynych, Bóg ulitował się nad nią i wraz z ostatnią nutą piosenki, Halina straciła przytomność.

V.

Stosunek domowy między Kamienieckimi a Lilą ułożył się szybko. Na prośbę męża, którego zaraz na wstępie drażnić nie chciała, Lila powitała matkę mężowską, jakgdyby nie między niemi nie zaszło nadzwyczajnego: chłodno, ale z wyszukaną grzecznością.

Stanisław promieniał.

Lora musiała zgodzić się na to, aby czas jakiś pozostały jeszcze w hotelu, bo ojciec życzył sobie tego.

— Nie pomieścili byście się u nas — mówił do corki. — Trzecie piętro... ciasno i niewygodnie...

Nie wiedział o tem, że powtarza słowa żony. Osobistego poglądu na tę, jak i na inne kwestye, nie miał wcale.

Żona słodyczą i obłudą zdobyła go odrazu. Chwiejny jego umysł bez walki poddał się jej wpływowi.

— Nie mogę tego tylko pojąć, Lilus — mówił kilkakrotnie do żony — jak ty mogłaś pozwolić aby ten, napół już spróchniały hrabia, zaręczył się z Lorcją. Majątek wprowadzie ma, ale cóż z tego? Wiesz, że to nawet brzydko wygląda.

— Nie wpływałam na wybór Lorcji, mój drogi — odparła śmiało Lila. — Czy ona kocha hrabiego? Trudno na to odpowiedzieć. Lora jest skrytą i — powiem ci szczerze, była bardzo trudną do prowadzenia. Nie mało się namęczyłam. Co do hrabiego, uważam, że nie pozwoli nie na niego powiedzieć i broni go zawzięcie; to wiele mówi.

— Hum, hum! — mruczał Stanisław, jakoś nie przekonany. — To dziwne! Wiesz, że matka bardzo to źle przyjęła i Wanda chodzi jak struta; nawet ten dzieciak, Muszka, rozplakała się, gdy jej powiedziano, że hrabia jest narzeczoną siostry.

Pamiętasz Liluś? Wtedy, przy pierwszej wizycie hrabiego?...

— No, dzieci są okropnie rozpieszczone i rozkapryszone, mój drogi. Dziwić się nie można, bo niepodobna wymagać, aby matka twoja kierować niemi potrafiła. Znadto już stara i niedołężna. Powiem ci, Stasiu, że z przykrością zauważyłam, jak dzieci nasze wiele straciły. Wanda z temi perkalikami i fartuszkami, które adoruje do śmieszności, z tą bezpretensjonalnością w układzie, daruj, ale wygląda jak straszdyło. Suknia szara, bo praktyczna, kapelusz szary, bo praktyczny; wreszcie i w głowie szaro, z tej praktyczności, się jej zrobiło. Do czego to podobne? Urodą Lora ci nigdy nie dorówna, o tem nie ma co marzyć, ale byłaby jeszcze znośna, gdyby nie te szare kolory i miny sensatki. Muszę to zmienić...

— To ci się nie uda, Lili! — zaopponował Stanisław. — Zważ przecie, że do fabryki ubierać się inaczej nie może. Co zaś do jej usposobienia... niepodobna wymagać, aby było inne... Więcej dotąd zaznała smutku, niżeli radości w życiu... Powiem ci, Lili, że sam nieraz słyszałem, jak chwalili jej urodę. Ty takich nie lubisz, wiem, boś ty „cała z promieni słonecznych utkana“, tak wszystko w tobie drga życiem, wdziękiem, błyskotliwością, która od razu w oczy się rzuca. Ty i dziś jeszcze potrafisz tak olśnić, Lili... Ledwom cię ujrzał, żal, gniew, niechęć, zawiść prawie, prysnęły w jednej chwili. Uroda Wandy, to co innego. W każdym razie rysunek głowy bardzo szlachetny i całość przypomina piękności klasyczne. Czy nie zauważyłaś tego?

— Bynajmniej — odparła niechętnie Lila. — Ty, Stasiu, widziałeś zawsze w Wandzie to, czego nie mogli dostrzedz inni.

— O, przepraszam! Borzycki zauważył to również — rzekł Stanisław, który od pewnego czasu, nie lubił, aby mu się sprzeciwiano.

— Aaa! — Lili ścieła wargi. — Czem-że teraz zajmuje się p. Borzycki? — spytała cierpko. — Czy bywa u was częstym gościem?

— Tak, dosyć — odparł Stanisław, zmęczony już rozmową. — A co on robi? Wiesz, doprawdy, nie pamiętam. Nie mię to nie zajmuje. Siedzę zwykle w swoim pokoju, a on tam z kobietami rozmawia... Czy nie masz wina, Liluś? Chętnie-bym się napił...

Poznała już nieszczęśliwą namiętność męża, a że po paru kieliszkach omijała go chwilowo apatia i rozdrażnienie, więc żona miała zawsze przygotowaną butelkę wina dla niego.

— Nie wiem, jakby się najwygodniej można urządzić, nie przysparzając kosztów — mówiła, płyn złościstą nalewając do kieliszka. — W mieszkaniu waszem, Stasiu, nie pomieścimy się... Lora potrzebuje wygody... ona taka delikatna. Słyszałam, Jurek coś wspominał, że karta u was wisi z ogłoszeniem. Podobno drugie piętro jest do wynajęcia?

— Nie wiem; to mnie nie interesuje... — mruknął, popijając wino. — Ale, Liluś moja, nie myślisz chyba o wynajmowaniu drugiego piętra dla siebie. Ileż-by to kosztowało? My już nie prawie nie posiadamy, kochanko... Wszystko poszło na marne — dodał z gorczycą. — Wiesz sama!

— Ale w hotelu będzie nas jeszcze drożej kosztowało — odparła zniecierpliwiona. — Wierzaj mi, Stasiu, że całe to gospodarstwo wasze niewiele warte. Matka niedołężna... Wanda w fabryce... Chciałabym jaknajprędzej objąć kierunek i urządzić to wszystko inaczej. Wiesz? Mam dobrą myśl... My oboje z Lora, dopóki jeszcze będzie w domu, zamieszkamy na drugim piętrze. Matce i dzieciom można zostawić dwa pokoje z kuchnią na trzecim; matka dozorować będzie kucharkę... Trzeba jej dać trochę zajęcia... Jakże ci się projekt mój podoba?

Stanisław ramionami ruszył.

— Nie wiem, doprawdy! Zupełnie odwykłem już od tego wszystkiego. To rzecz matki i Wandy — rzekł powoli, prawie z niechęcią. — Czy nie mogłabyś z niemi o tem pomówić?

Lila rozgniewała się.

— Zartujesz chyba, Stasiu! — rzekła. — Matkę twoją toleruję tylko przez miłość dla ciebie; nie przypuszczasz, abym zapomnieć potrafiła, jaką ona była dla mnie. Chciałaś tego, więc weszłam

do twojego domu z pozorną zgodą i zachowując pełne, wiekowi należne, względy, ale poza tem nie się odemnie nie spodziewaj.

— Dobrze, już dobrze, Lili! Czemu ty się zaraz tak unosisz? Róbcie sobie jak chcecie, tylko, wymawiam sobie — decydujcie beze mnie. Słaby jestem, znekany, o niczem myśleć nie chcę...

Nalał sobie wina i wychylił kieliszek od razu. — A więc zajmę się wynajęciem mieszkania dziś jeszcze — rzekła szybko Lila. — No, nie przypuszczałam, że los tak po-macoszemu obejdzie się ze mną... Może jeszcze ze służącą na targ chodzić będę? Śliczne rzeczy zastałam w kraju...

— Nie było to chyba niespodzianką dla ciebie, Lili? — odpowiedział Stanisław zniecierpliwiony. — Co to zresztą mówić o tem?

Przesunął rękę po bladym, wyłysiałym czole, wzrok opuścił ku ziemi.

— Życie nigdy nie dotrzyma tego, co obiecuje... Każde dziecko wie już dziś o tem! — dodał ponuro.

Lila ułożyła się wygodnie na kanapie.

— Ee! — rzekła lekceważąco — mamy je takiem, jakim chcemy, aby było... Ale co to pomogą teraz wszelkie o tem dysputy? Śmieszne są, nie więcej!

Zapałała papierosa i zamyśliła się. Trzeba było wygodnie i przyjemnie urządzić sobie życie, a środki małe niewiele obiecywały.

Lora, gdyby chciała... ale wyrażnie nie chce zabrać jej do siebie. Taka to wdzięczność dzieci: więc musi, choć ją dreszcz obrzydzenia przejmuje na samą myśl takiego marnego istnienia, musi sama ułożyć sobie życie, aby znośnem chociaż było.

Spojrzała na męża, który siedział w fotelu z przymkniętymi oczyma, i uśmiech ironiczny twarz jej zeszpecił.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z wystaw malarskich.

(Jan Chełmiński i jego obrazy).

Zamknięto niedawno wystawę obrazów, która cieszyła się serdecznymi względami kobiet. Dla czego tak było, artykuł niniejszy wyjaśni. Ale przedewszystkiem znaleźć się w nim musi wizerunek — z konieczności szkicowy tylko — samego artysty.

Przed kilkoma laty urządzono w Londynie, pod dostojnym protektoratem kogoś z rodziny panującej, wystawę zbiorową Jana Chełmińskiego. Wystawa obejmowała kilkadziesiąt płócien różnej treści. Spisane one były w pięknym ilustrowanym katalogu, który podawał na pierwszych kartach portret wystawcy oraz jego sylwetkę biograficzną. W sylwetce uderzał jeden szczegół znamieny: przy słowie *artist*, często tam się powtarzającym, nie dodano ani razu: *polish*.

A dodatek ów był tam z wielu względów niezbędny — o wiele niezbędniejszy, niż na przykład dopisek: „z Warszawy“, jaki na swych obrazach zwykł Józef Brandt umieszczać.

Gdy ktoś, nie lubiący szperać po lexykonach i do metryk ludzi wstawionych zaglądać, wspomnianą wystawę londyńską rozpatrywał, nie mu tam o narodowości artysty nie mówiło. Co najwyżej, zadziwić się mógł, że *angielski* malarz nosi nazwisko kończące się na „ski“.

Wystawa była nawskróś angielska, *sportem* i *confortem* przepelniona. A jeśli wśród przedmiotów ściśle lokalnych znalazł się tam i Napoleon z pod Moskwy wracający, to wiadomo, że postać ta w różnym stopniu lechce próżność narodową Francji i Anglii.

Nie było też w malarskim opracowaniu przedmiotów tych nie takiego, w czemby ujawniła się, już nie odrębność plemienna artysty, ale choćby odrębność tego, co świat we współczesnem malarstwie mianem „szkoły polskiej“ oznacza.

Były to bez wyjątku rzeczy wytworne, miękkie, o dyskretnie przytłumianych barwach, o nastroju spokojnym i lekko rozmarzającym. Słońce nawet świeciło tam tak łagodnie i powściągliwie, jakby je kloszem ze szkła matowego nakryto...

Publiczność angielska wśród tego świata, raczej odtworzonego niż stworzonego przez artystę (a jednak przywykliśmy artystów „twórcami“ nazywać), była jak u siebie w domu.

Z jednego płótna wzywały tak dobrze jej znajome ulice i płaskie trawniki Hyde-parku, z innego bulwar nadrzeczny, gdzie piękna *lady* mowała się z figlarnym wiatrem, wiejącym od wody. Tu spotykałaś dwie amazonki, przedstawicielki londyńskiego wielkiego świata, odbywające przejażdżkę ranną na folblutach; owdzie grono dam i panów, flirtujące na brzegu morskim, również z wysokości końskich grzbietów. Dalej szły wykintne budoary z damami przy pianinie, portrety arystokratek i arystokratów, słodkie epizody miodowych miesięcy i t. p.

Omali nie zapominałem, że znajdowały się tam także, i to w dość poważnej ilości, sceny wojskowe i wojenne — o tych jednak później.

Takie, nadzwyczajne, całkowite, do gruntu duszy sięgające i aż do zatracenia indywidualności posunięte, nasiąknięcie obcemi żywiołami społecznymi i artystycznymi — zadziwia. Z konieczności nasuwa się tu przypuszczenie, że artysta znalazł się na cudzej ziemi i wrósł w nią w latach bardzo młodych, w porze, gdy takie aplegowanie ducha jest jeszcze możliwe, gdy talent znajduje się dopiero w zawiązku, a cała istota wewnętrzna posiada galaretowatość kształtującego się dopiero organizmu.

Przeczą jednak temu daty biograficzne.

Jan Chełmiński — mówią one — urodzony około 1850-go roku we wsi Brzostowie w Radomskiem, uczęszczał do szkół w Warszawie i zapisany był do tutejszego uniwersytetu, którego wszakże nie ukończył, ciągniony wrodzonymi upodobaniami w inną stronę. Naukę malarstwa rozpoczął i dość długo prowadził pod kierunkiem Juliusza Kossaka. Już jako młodzieniec dwudziestokilkuletni wyjechał na dokończenie studiów do Monachium. Wiadomo, że szkoła monachijska, choć pewne, właściwe sobie, piętno na młodych wychowankach zostawia, nie zabija w nich jednak nigdy oryginalności — o ile ją, naturalnie, posiadają.

Tę najcenniejszą we wszelkiej szkole zaletę przypisać trzeba przedewszystkiem systematowi nauczania, a następnie tej pomyślnej — dla Polaków — okoliczności, że w gronie mistrzów jedno z miejsc najpierwszych zajmuje tam — Brandt.

I Chełmiński zatem nie znalazł się w bawarskich Atenach pod wyłącznym wpływem cudzoziemców i cudzoziemczyzny. Prócz Wagnera i Franciszka Adama, kierował tam dalszemi jego krokami twórca „Jarmarku w Balcie“ i „Chocimia“. A że, jak się wyżej rzekło, podstawowych zasad sztuki nauczył go był już Kossak, pierwszy więc swojski był w młodym artyście dostatecznie ugruntowany.

W Monachium pociągnął go ku sobie tak zwany *Zopf*. Zaczął malować strojnisiów i strojnisię z XVIII-go wieku w pudrowanych perukach, jedwabiach i aksamitach, oraz współczesnych im wojaków, z „harcapami“ i bez „harcapów“, którzy niesłychane ilości prochu zużywali... na fajerwerki.

Rodzaj był modny i popłatny. Artysta wziął się doń umiętnie i potrafił go wyzyskać. Niebawem „firma“ jego stała się znaną i cenioną, i pracownię młodego malarza poczęli obiegać heoldowie popularności: *kunsthandlery*.

W samym zwrocie ku rodzajowi, który młodą wyobraźnię nęci wykintem i malowniczością, nie było jeszcze nic niebezpiecznego. Wszakże rodzajowi temu hołdował i Maks Gieryski, a jednak jego polskości (choć w polskich galeryach daremnie-by go kto szukał) nikt zagranicą nie podawał w wątpliwość. Słusznie też ktoś zauważył, że formy *rococo* odtwarzać można, nie wychodząc za obręb kraju: pełna ich jest epoka naszych Sasów.

U Chełmińskiego jednak w ślad za cudzoziemskimi uniformami poszło i z cudzoziemczem talentu.

Wykwintność i, rzec można: arystokratyczność pędziła utorowała mu drogę do arystokracji, najpierw pieniężnej, potem rodowej. Niebawem na młodego artystę zwrócił uwagę miłośnik i mecenas sztuki, król Ludwik II Bawarski i portretował mu się pozwolił. Utrwaliło to raz nazawsze „karyerę” Chelmińskiego, który portretował w dalszym ciągu niemało osób ze sfery dworskiej. Katalog, o którym wyżej wspomniałem, wymienia długi szereg Wielkich książąt, Wielkich księżnych i Wielkich księżniczek (przeważnie dworu bawarskiego), których rysy poprzemienił artysta nasz na płótno.

Te prace skłoniły go do przeniesienia się nad Tamizę, gdzie też gospodę pielgrzymią zamienił wkrótce na stałe *at home*.

O publiczności polskiej mało przez ten czas artysta pamiętał, albo raczej: nie pamiętał o niej zgoła. Obrazy jego oglądał Londyn, Paryż i New-York, zakupywali zaś je bogaci obywatele angielscy i amerykańscy. Do Warszawy zabłąkał się raz zaledwie, czy dwa razy, jakiś niewielki utwór Chelmińskiego, dziwiący ogół a nawet i pewną część krytyków, nazwiskiem nieznanem...

I dopiero w tym roku artysta, syt chwały zagranicznej, przypomniał sobie ziomków. Zgromadziwszy kilkanaście nierozprzedanych na miejscu płócien, wysłał je do Warszawy, polecając umieścić na wystawie oddzielnej (nie zbiorowej, bo na to było ich zbyt mało) i — spieniężyć.

Dzięki temu ogół nasz dowiedział się o istnieniu jeszcze jednego polskiego artysty; świadomsza zaś jego częśćka weszła z artystą tym w bliższą znajomość.

* * *

Obrazy Chelmińskiego, wystawione przez pół-trzecia miesiąca w sali Resursy obywatelskiej, nie mogły dawać zupełnego o talencie artysty pojęcia. Brakło wśród nich przede wszystkim portretów, które poważną część jego działalności stanowią. Mimo to, osobistość artysty zaznaczyła się na tej niekompletnej wystawie rysami dość wydatnymi, i sądząc, że na podstawie ich można skreślić wizerunek — wielce prawdopodobny.

Z szesnastu obrazów, przysłanych z londyńskiej pracowni Chelmińskiego, więcej niż połowa przypada na rodzaj, którybym nazwał: militarnym. Jeden tylko z tych obrazów należy do rodzaju batalijnego; na innych widzieliśmy wojskowość, nie w ruchu, lecz w spoczynku.

Ta przewaga militarystyki zdawałoby się wskazywać, że w talencie Chelmińskiego panującym jest pierwiastek siły i jedności. Tak-by być musiało, gdyby wszelka armia, obok stron innych nie miała też strony malowniczej, gdyby, będąc postrachem dla wrogów nie bywała też widowiskiem dla obojętnych, gdyby obok szabli ostrych i kulami brzemiennej broni nie nosiła barwnego i błyszczącego uniformu...

Chelmiński upodobał sobie właśnie tę drugą widowiskową, stronę militarystyki i dla tego, choć obrazy jego pełne są huzarów, lansyerów, kirysyerów i woltżerów, nie przestał być malarzem spokojnym, wykwintnym i miękkim.

Oto na przykład artysta przedstawia „Adjutanta z depeszą pod Waterloo.” Już to słowo „Waterloo” zapowiada coś tragicznego. Zdawałoby się, że jakkolwiek fragment tragedii tej artysta przedstawić nam zechce, że pod pędzlem jego znaleźć się musi demoniczne piętno, jakie na całosci spoczywa.

Tymczasem cóż na obrazie widzimy? Jako tło: kawałek płaskiej, nie nie mówiącej, równiny, szmat pola świeżo zoranego, i wieśniaka, który w głębi spokojnie kroczy za plugiem. Jako akcja: oficera w pięknym uniformie, cwałującego na równie pięknym, dobrze wypasionym wierzchowcu. I to już wszystko.

A oto znów „Sztab na zwiadach.” Tytuł wskazuje również chwilę wojenną. Jakkolwiek oficerowie sztabowi odsunięci są od ogniska bitwy na całą odległość promienia lunetowego, niepodobna jednak, aby i na nich nie padał odbłask — choćby psychiczny tylko — najstraszniejszego ze społecznych pożarów. Obraz jednak nie podobnego nie

uwidocznia. Przedewszystkiem grupa, złożona z trzech czy czterech wojskowych na koniach nie wyraża dostatecznie tego, cośmy przez „sztab” przywykli rozumieć; następnie wojskowi ci czynią swe spostrzeżenia z takim obojętnym spokojem, jakby znajdowali się na zwykłej majówce, setkami mil od piekła bitewnego przedzieleni...

„Lansyery” są już wprost sielanką. W piękny dzień lata, przez las błyszczący świeżą zielenią, jedzie kilku dziarskich ułanów, wassa pokręcając. Napotkali wieśniaczkę niestara, więc przystanęli i wypytyją o drogę do wsi, a może do... serca. Tu już nie czuje się najlżejszego nawet przypomnienia furji wojennej. Ci ułani są wojakami, jeśli nie z operetki, to z piosneczki ludowej. Na widok ich chciałoby się zanucić: „Niosła Zosia wodę z rzeczki — spotyka ułana...”

Zapewne jednak nie będzie sielanką „Biwak przy ognisku?” Nocą, w lesie, przy ogniu z suchych gałęzi, biwakuje się tylko podczas zawieruchy wojennej. Otóż nie. Czyni się tak samo i podczas pseudo-wojennych manewrów, gdzie nieprzyjacieli, bitwa, strach i niebezpieczeństwo są — fikcjami. Patrząc na obraz, nie wątpimy, że artysta zapragnął odtworzyć na nim taki właśnie biwak pokojowy. Wszystko tu spokojne — aż do płomienia, który gore, nie jak w głębi lasu, ale jak w głębi marmurowego kominka. A wojacy, przy płomieniu tym skupieni, ułożyli się tak wygodnie, że podobniejsi są do myśliwych, zmęczonych gonitwą za zającem, niż do żołnierzy, których lada chwila strzał pikiety na nogi porwać może...

I tak wszędzie. Czy to będzie „Woltżer saski” w swym dziwacznym uniformie, czy konna „Pikieta,” czy błyszczący strojnami mundurami „Huzarzy w marszu” — zawsze w wybranym temacie artysta uwidatni tylko malowniczość, o reszcie zdając się nie wiedzieć.

Nawet owa jedyna scena batalijna, o której wspomniałem, przedstawiająca „Potyczkę huzarów austriackich z kirysyerami pułku Seidlitza” (tytuł ścisły jak biuletyn z pola bitwy) nie ma w sobie ani cienia wojennej grozy. Z przyjemnością, nieczem niezamąconą, patrzy się na piękne, choć gwałtowne, ruchy koni nacierających i wytrzymujących natarcie, na blaski nagich szabli, na jaskrawą barwę mundurów, przytłumione szarą chmurą kurzawy. Suchy opis utarczki wojennej, w której z konieczności muszą być zabici i ranni, wzrusza częstokroć silniej, niż w tym duchu pojęte plastyczne jej przedstawienie.

W tem miejscu, wychodząc poza ramy sprawozdania i pragnąc dobrać się genezy obrazów Chelmińskiego, pozwalam sobie postawić następującą hipotezę. Artysta, w którego talencie pierwiastek refleksyjności góruje nad innymi, tworzy, nie pod nieprzepartym naciskiem natchnienia, lecz z namysłem i z zupełną świadomością procesu twórczego. Nakształt strojnisi, która zna niedostatki swej urody i umie im zaradzać, zdaje on sobie sprawę z niedostatków swego talentu i niedostatkom tym — o ile to jest w jego mocy — przeciwdziała. Rodzaj talentu naszego artysty skłania się ku leniwemu, beznamiętnemu spokojowi, który grozi przejściem w bezzamiętność; broni on się przed nimi wyborem treści, pełnej ruchu i niepokoju.

Jest to tylko hipoteza... stwierdza ją wszakże sporo faktów.

Prócz militarystyki, o którym było wyżej, spotykamy w obrazach Chelmińskiego inne pierwiastki burzliwe. Na wystawie warszawskiej znajdowały się na przykład: „Zamieć śnieżna” i „Ucieczka przed wilkami”.

Chelmiński jest stałym „dostawcą” pieniężnej publiczności angielskiej — przypuszczam (nie porucząc systemu hipotez), że któryś z jego „odbiorców”, wiedząc o polskim pochodzeniu artysty, zażądał odeń dzieł, odznaczających się takim właśnie charakterem. Odbiorca ten łakomił się zwłaszcza na wszelkie sceny z wilkami — wilk bowiem jest *rara bestia* dla Anglika, który ani jednego z drapieżników tych na wyspie swej nie posiada. Zaciekawiały go też i polskie burze śnieżne, o których sądził, że z angielskimi nie mogą iść w porównanie.

Nie wiem, czy artysta marzeniom odbiorcy odpowiedział, krytyki jednak nie zaspokoili. Ani

jego „Zamieć” nie posiada właściwej grozy żywiołowej, ani jego „Wilki” nie wyglądają na drapieżne i srogie bestie. Przypuszczam, że artysta albo nigdy zimą w polskich borach nie był, albo też wrażenia młodości zatarły się częściowo w jego umyśle.

Jeżeli jednak zostawimy każdemu własny jego dział i nie będziemy od skowronka wymagali lotów sokolich, przyznać wypadnie, że pędzel Chelmińskiego posiada niemałe w swoim rodzaju zalety.

Przedewszystkiem, każdy z jego obrazów jest — wymalowany. Na pozór pochwała ta wygląda na żart, nie jest nim wszakże. Wszystkie obrazy są malowane, ale tylko obrazy sumiennych i gruntownie sztukę swą znających artystów nazwać można „wymalowanymi,” to znaczy: wykonczonemi, w tym stopniu, aby przestały być szkicami. U nas wystawa szkiców, urządzana nominalnie raz do roku, na kilka tygodni *de facto* jednak trwa przez rok cały. Nawet artyści z pewnem już imieniem pod nazwą obrazów wystawiają — szkice.

Chelmiński tem, specjalnie warszawskiem, niechlujstwem nie grzeszy. Pomimo, że maluje dużo, nie (jak to się mówi po pracowniach) nie „puszcza.” Na obrazach jego każda postać, czy ludzka czy końska, wymodelowana jest i oświetlona prawidłowo i starannie. W kolorystyce daremnie-by kto szukał dyssonansów lub surowizny; nie jest on świetny, ale zawsze doskonale szarmonizowany i doskonale intencje artysty wyrażający.

Intencje zaś te są wyraźne. Artysta postanowił być *milym* i zjednywać sobie względy widza przez dostarczanie mu spokojnych wrażeń estetycznych. Zadaniu temu nie przeniewierza się nigdy, żaden też z jego obrazów nie zamęci tonem krzykliwym cichej i ciepłej atmosfery domu mieszczańskiego.

Przytem o niektórych jego kompozycjach powiedzieć można, że uosabiają *la morale en action*. Na przykład owa, sentymentu i konfortu pełna, przejażdżka samotna nowożeńców, zatytułowana „Miodowe miesiące.” Do wszystkich bezzenników i „bezmężniczek” (przepraszam za wyraz niezdarny, choć logiczny) przemawia ona w sposób przekonywający: „Żeńcie się! wychodźcie za mąż! tylko w małżeństwie raj wymarzony znajdziecie...”

A równocześnie dodaje tonem poufnym:

— Nie zapominajcie jednak przy miłości o *mamonie*, gdyż bez niej nie dojdziecie nigdy ani do tak misteryjnych sanek, ani do tak rasowych koni, ani do futer tak ciepłych i puszystych...

I to jest właśnie powód, dla którego — jak na wstępie zaznaczyłem — zamknięta niedawno wystawa w Resursie obywatelskiej cieszyła się szczególnymi płci pięknej względami...

Wiktor Gembicki.

Obrazki z Japonii.

Nie mamy zamiaru zajmować się tu możliwą szansą losów wojny, prowadzonej na dalekim wschodzie Azji o posiadanie półwyspu Korei, nie będziemy również informowali o siłach wojskowych obu narodów walczących, o ich uzbrojeniu, zapasach żywności i t. p. Przeciwnie wobec powszechnej uwagi, jaka zwraca się zwłaszcza ku Japończykom, słusznie sądzić można, że, czytelniczki nasze zaciekawione są poznać choć z pierwszego wrażenia ów naród, który z odosobnienia trwającego tysiące lat wszedł obecnie na drogę stosunków ze światem cywilizowanym.

Większość podróżników europejskich, zwiedzających Japonię w ostatnich czasach, twierdzi, że znaleźli w tym kraju lud dobrze wychowany i przyjemny. I autor niniejszej pracy, który kraj ten poznał po raz pierwszy w 1878, a potem w 1881-ym roku, spędziwszy tam za każdym razem miesiąc, w ogłoszonych wówczas sprawozdaniach nie odmawiał krajowi ani jego mieszkańcom wielkiego uznania.

Niedawne okolicznościowe prace młodych autorów głoszą jednak o Japonii zupełnie odmienne sądy. Nie podobają im się widocznie żywzadłoność naśladowcza Japończyków. Konserwatywny chińczyk ze swoją zawsze jednostajną działalnością lepiej im przypada do gustu, — słowem: lubią warkocz chiński. Obecna wojna w każdym razie zadła kłam takiemu mniemaniu. Niedawno jakiś podróżnik twierdził, że Japończyków przyrównać można do Francuzów, a Chiny do Anglii, co wobec niezręcznego prowadzenia ostatniej wojny, a zwłaszcza zaniedbania chińskiej floty, Anglikom pochwalać nie może. Z warkoczem, do którego przymuszono chińczyka przed dwustu prawie laty, uważając go za znak poddaństwa, nie zniknąłby mur chiński, ani przestarzała administracja państwa.

Wiele rzeczy oryginalnych i starych pozostanie zawsze pięknymi. Kolorystyka strojów orientalnych i indyjskich straciła niewątpliwie od czasu gdy fabryki Manchesteru wysyłają na wschód tkaniny barwione na szaro, oliwkowo i pstro. Japonia powinna z tego powodu pozostać przy swych przepięknych ubiorach, wspaniałym ozdobionym haftem. Nie byłoby to przecież przeszkodą, aby uważała Anglię np. za wzór urządzeń komunikacyjnych, co czyni właśnie ona, Japonia, nie Chiny.

Do rzędu zagorzałych wielbicieli Japonii należy baron v. Korff. Podróżnik ten objechałszy w świat wokoło, wydał o kraju tym bardzo zajmujące dzieło w czterech tomach. W tym „Dzienniku podróży naokoło świata“ pisze on, co następuje: „Co za kraj cudowny, zajmujący, sympatyczny, wspaniały i godny uwagi ta Japonia! W każdej chwili przychodzi ten okrzyk na usta. Niechby wszystkie obce wpływy licha wzięto, a ten mały raj ziemski pozostał jeszcze czas jakiś, takim jakim jest dzisiaj! Jak dobrze robili dawni wojownicy, rozcinając brzuch każdemu spotkanemu cudzoziemcowi! każdy obcy wpływ zaszkodził tu tylko może. Przejechałem świat cały, nie spotkawszy nigdzie równie uobyczajonego subtelności narodu, jak Japończycy; niechże nadal lud ten będzie równie szczęśliwy, wesoły, uczuciowy, jak dotąd“.

Pomimo tych wielkich pochwał kobietom naszym prawdopodobnie nie podobałoby się wiele rzeczy z tego, co jest w Japonii obecnie obyczajem ogólnym, a powszechne dziś w Europie dążenia kobiet nie dałyby się prawdopodobnie z nim pogodzić.

Nie są dziś już u nas rzadkością grupy plemion pokazywanych na scenie zupełnie nago. Nie widzimy w tem nic zdrożnego, że mieszkańcy Samoa, Dahomeju, murzyni z Sudanu lub Syngalezi ukazują nam się napół nady. Ciemny kolor ciała przyczynia się do tego, że oka naszego nagość ta nie razi. Tymczasem byłoby to z pewnością nadużywaniem naszych nerwów, gdyby grupy ludzi o białym lub cielistym kolorze skóry wystąpiły w równie niekompletnym stroju.

Oko japończyka przyzwyczało się, oczywiście, do innego obyczaju. Nagość białego człowieka również go nie razi. Cudzoziemcowi, który zwiedza Japonię, wydaje się całkiem nowym i nieprzyjemnym widok Kulich, ubranych za ledwie w przepaskę, jako przewoźników w łódkach i wózników w powozach. Przecież przywyka do tego widoku, tak samo, jak do szeregów Rzeźb greckich i rzymskich w muzeum Watykanu w Rzymie. Wszędzie na ulicy i w domu, nawet w teatrach, spotyka ludzi całkiem nie odzianych według naszych pojęć, którzy poruszają się przecież w tych adamowych kostiumach równie swobodnie i spotykają tak uprzejmie, jak gdyby byli we frakach balowych.

Mężczyźni, o ile nie stosują się do mody europejskiej, noszą na ulicy lekką narzutkę, zdejmując ją

przecież wchodząc do domu, kawiarni, lub teatru, tak, że z ubrania ich pozostaje tylko pas osłaniający biodra. Do miejsc kąpielowych na brzegu morza każdy ma dostęp wolny. Kobieta kąpiąca się nie zmieniaby prawdopodobnie pozycji, gdyby wszedł do łazienki obcy mężczyzna, co najwyżej odwróciłaby się od niego, nie biorąc przecież tej wizyty za obrazę. Rząd teraźniejszy stara się wprowadzić wśród mieszkańców zwrot w przeciwnym kierunku. Czy mu się to uda, o tem rozstrzygnie przyszłość. Dziwne dla nas, ale bardzo proste są w Japonii obyczaje przy zawieraniu małżeństw. Jeżeli cudzoziemiec obyczajów tych nie zna, łatwo zdarzyć się może, iż ożeni się bez zamiaru dokonania tego. Znanym jest przecież fakt, że japonki niezamężne nieograniczoną mają swobodę, a nawet najarystokratyczniejsza część społeczeństwa szuka sobie żon w herbaciarniach i tym podobnych zakładach. Przy tem zawiera się tam małżeństwa przez pośredników na czas określony (na tygodnie, miesiące lub lata).

Niewielu jednak wie, że z czysto-platonieznego stosunku z rodziną japońską może cudzoziemiec bez swej woli dojść do uprawnionego małżeństwa. Aby dostać się w podobne położenie wystarczy trochę dobroduszości. Rodzina japońska zaprasza do siebie cudzoziemca; tam poznaje on córkę domu, która mu się może dosyć podobać. Matka, zauważywszy to, niezwłocznie posyła zaproszenie do teatru. Matka i córka ubierają się, jak mogą najlepiej, bierze się łożę, czas szybko przechodzi na przedstawieniu, a córka łatwo znajduje sposobność dania gościowi drobnych podarunków, jak np. owoce. Jeżeli mężczyzna odpowie na to, robiąc również damie podarunek, to daje w ten sposób swe przyzwolenie, i związek małżeński jest już zawarty. Działła on tu niekiedy całkiem bezwiednie, o czem zaświadczyć może autor z własnego doświadczenia. Potem cudzoziemiec zrobić powinien jeszcze kilka podarków członkom rodziny młodej osoby, a zwłaszcza matce i rodzeństwu, a na drugi dzień będzie miał żonę, nawet, jeżeli już jest żonatym, lub ślubował pozostać na zawsze w kawalerskim stanie. Jeśli chce tego uniknąć, powinien natychmiast wyjechać, jak zrobił to swego czasu autor, lub zabezpieczyć się w jakiś inny sposób przed narzucanym mu stanem małżeńskim. Jest to czysto japońskie, ale prawdziwe!

Kobiety zameżne czernią sobie zęby i szpecą się przez wyrwanie brwi, aby nie wzniesić upodobania w innych oprócz własnych swoich mężów: tak przynajmniej twierdzą podróżnicy japońscy. Zwyczaj ten pochodzi przecież z innego źródła: w dawnych czasach każdy arystokrata miał prawo do wszystkich kobiet, które mu się podobały, i dlatego starano się zszpeczać twarze mężatek, aby je od napasli uchronić.

Przy mobilizacji armii na początku tegorocznej wojny, która nie spowodowała najmniejszego zastoju w wewnętrznych sprawach państwa, przekonano się jak doskonale zorganizowaną jest administracja Japonii. Nie dziwnego, że w tym wybornie urządzonym kraju dla uspakajania zaburzeń, nigdy prawie nie potrzeba używać policji, jakkolwiek dobrze a jest wyćwiczoną i wzorowo spełnia swe obowiązki. Sieć strażników pokrywająca kraj jest tak umiejętnie rozdzielona, że żaden cudzoziemiec przejechać nie może, nie zapisawszy swego nazwiska i celu swej podróży do archiwum prefektury policji. Każdy szczegół o miejscowych i obcych mieszkańcach znanym jest rządowi japońskiemu. Całe państwo japońskie, krótko mówiąc, jest środowiskiem intelligencji i w niespodziewany sposób świadczy, jak dalece wiedza jest potęgą.

Karol Stengen.

Z bieżącej chwili.

— Dzienniki petersburskie donoszą, iż do Rady Państwa podany będzie wniosek ministerium oświecenia, dotyczący przepisów o pojedynkach.

— W początkach grudnia rozpoczyna się przy ministerium rolnictwa posiedzenia komitetu drobnego przemysłu. Departament gospodarczy ministerium spraw wewnętrznych ulegnie gruntownej reformie z początkiem nadchodzącego roku.

— Warszawskie Towarzystwo dobroczynności odbyło pod prezydencją ks. Lubomirskiego ogólne zebranie, na którym odczytano sprawozdanie z działań Towarzystwa w ubiegłym 1893 r. Towarzystwo utrzymywało w różnych zakładach, a to: w zakładzie starców, w zakładzie sierot, tak chłopców, jak dziewcząt, w przytułkach, żłobkach, w trzydziestu dwóch ochronach i w ośmiu szwalniach 5.369 osób. Obok tego udzielono pomocy w pieniądzu, obiadach, zakupie rumfordzkiej, w stypendjach, w opale, w lekarstwach i pożyczkach 5.171 osobom; z bezpłatnej porady lekarskiej, z bezpłatnych czyteln i kas groszowych korzystało 22.972 osób. W ogóle dano pomoc w sposób rozmaity z funduszu Towarzystwa 33.512 osobom. Na utrzymanie stałe w zakładach Towarzystwa, oraz na różne wsparcia i zapomogi wydało Towarzystwo 214.833 rs.

— Zamiast bazaru, urządzanego corocznie na *Gwiazdkę* przez Tow. Dobroczynności, podjęto zamiar urządzenia wystawy nowoczesnej sztuki naszej. Towarzystwo liczy na to, iż miłośnicy malarstwa nadesłają posiadane dzieła sztuki, które nie tylko ze względu na cel zapewne licznie oglądane będą.

— Zakup dzieł do rozlosowania między członków Towarzystwa Sztuk pięknych odbędzie się wkrótce. Brandt nadesłał na wystawę obraz p. t. „Bitwa“.

— Doroczna wystawa szkiców i przedmiotów sztuki stosowanej w Salonie artystycznym na Nowym Świecie licznie jest odwiedzana.

— W kościele Ś-go Aleksandra na placu Trzech Krzyży wstawiono dwa nowe okna, malowane w zakładzie Ś-go Łukasza, a przedstawiające patronów ofiarodawców, którzy u stóp ich kłęczą, wedle zwyczaju przyjętego w wiekach średnich. W tymże zakładzie wykonano dwa okna do kościoła w Goworowie, ofiarowane przez miejscowego plebana, ks. Bryczyńskiego, a przedstawiające Ś-go Stanisława wskrzeszającego Piotrowina i Ś-tą Franciszkę Rzymiankę, prowadzoną przez anioła. Zakład Ś-go Łukasza otrzymał z Ameryki zamówienie od ks. Kubiaka na dwa okna malowane, oraz zamówienie do kościoła we wsi Myślinie pod Krakowem.

— W Górze Puławskiej kościół Ś-go Wojciecha odnowiono gruntownie i poświęcono uroczyście, dzięki staraniom miejscowego plebana, ks. Myślakowskiego; tak doprowadzoną do należytego stanu świątynię zbudowała w 1781 r. księżna Czar-torska.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczy“ dołącza się: Według stanu, szkice, przez E. Vely. Przekład z niemieckiego ark. 2.

TREŚĆ: Pogawędka, przez ?? — Książki dla dzieci i młodzieży, przez M. I. — Bez woli, powieść przez Wandę Grot Bęczkowską (dalszy ciąg). — Z wystaw malarzkich (Jan Chołmiński i jego obrazy) przez Wiktora Gomulickiego. — Obrazki z Japonii. — Z bieżącej chwili. — Dodatek obejmuje: Według stanu, szkice, przez E. Vely, przekład z niemieckiego ark. 2. — Przegląd mód. — 25 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycja stołu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 16 Января 1894 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.